

MAANAM (2003 – 2008)

W roku 2003 Maanam zmienił skład sekcji rytmicznej. Z zespołu odeszli muzycy ze złotego składu, a więc bracia Ryszard i Krzysztof Olesińscy oraz Paweł Markowski. W sieci pojawiła się wtedy informacja: „20 września gitarzysta Ryszard Olesiński, basista Krzysztof Olesiński i perkusista Paweł Markowski, przestali być członkami Maanam. Jako powody rozstania podano narastające nieporozumienia artystyczne i osobiste”.

W kolejnym i ostatnim już składzie w zespole występowali:

- Marek Jackowski: gitara, lider,
- Olga Jackowska, Kora: wokół,
- Janusz „Yanina” Iwański: gitara,
- Bogdan Wawrzynowicz: gitara basowa,
- Cezary Kaźmierczak: instrumenty klawiszowe,
- Jose Manuel Alban Juarez: perkusja.

JANUSZ „YANINA” IWAŃSKI

Janusz Iwański – gitarzysta, wokalista, kompozytor, autor tekstów, a także tomiku wierszy „Sukienki i warkocze”; dziennikarz, prezenter Listy Przebojów „Muzyczne Dary”; współtworzył obok swoich zespołów także: Tie Break, Soyka-Yanina, Yanina Free Wave, The Goodboys; koncertował z muzykami jazzowymi w Europie i Ameryce; przez 5,5 roku grał w Maanam, ostatnio w The Goodboys; obecnie występuje między innymi z projektem „The Beatles Acoustic Plus”.

Opowiada, w jakich okolicznościach związał się z Maanamem, o poważnym wypadku Marka w 2007 roku, o usunięciu lidera z jego zespołu oraz o ostatecznych przyczynach „zwinięcia” działalności tej legendarnej dziś grupy.

RB:– Opowiedz mi Janusz, jak wspominasz Marka, kiedy graliście razem. Jaki on był? Miałeś wtedy swoje jazzowe środowisko, ale potem dołączyłeś do Marka i Kory po odejściu ich sekcji rytmicznej.

JYI:– Z Korą znam się dobrze od wielu lat. Z muzyką Maanamu zetknąłem się, kiedy koncertowali po kraju. Wiadomo było, że jest to mega rock&rollowy zespół, ale ja wtedy działałem w świecie jazzu i koncertowałem z Tie Break. W 1980 wylądowaliśmy w agencji Poznańskie Towarzystwo Jazzowe. Jego prezes wspomniał, że w tej agencji jest również zespół, jak to określił „mniamniam”. Ja wtedy nie interesowałem się polską muzyką rockową, ale oglądałem ten opolski festiwal, gdzie Maanam zabłysnął i młodzież oszalała na jego punkcie. Zaangażowany jednak byłem w muzyce jazzowej. Później już wiedziałem, jaka to potężna załoga, bo słyszałem Maanam w radiu, ale to nadal dla mnie nie miało większego znaczenia, ponieważ „wyczepiłem” z rock&rolla w połowie lat 70. Gdy odpuścił stan wojenny i występowałem z Tie Break w warszawskim klubie „Akwarium”, pojawiła się tam na jednym z koncertów Kora z Kamilem Sipowiczem. Ktoś przyszedł do garderoby i mówi: Jest Kora na koncercie. Częstym gościem naszych występów był również Tomek Tłuczkiwicz, który nawiasem mówiąc, gdy został szefem Polskich Nagrań, wyprodukował pierwszą płytę Tie Break, na co liczyliśmy od wielu lat, bo nikt wcześniej nie zainteresował się moim zespołem. Wiedziałem, że taka wielka gwiazda jak Kora nie bez powodu przychodzi do „Akwarium”. Spotkaliśmy się kiedyś na koncercie w Juwenalia 1980 roku w Częstochowie, ale wiadomo, Maanam grał rock&roll, a my jazz. Kilka lat później występując w duecie Soyka-Yanina, a to już było w 1988, zaprzyjaźniłem się z Korą. Bywałem w jej domu na rozmaitych spotkaniach, była dla mnie niezwykle ciekawą osobą. To był ten czas, kiedy Maanam miał kryzys.

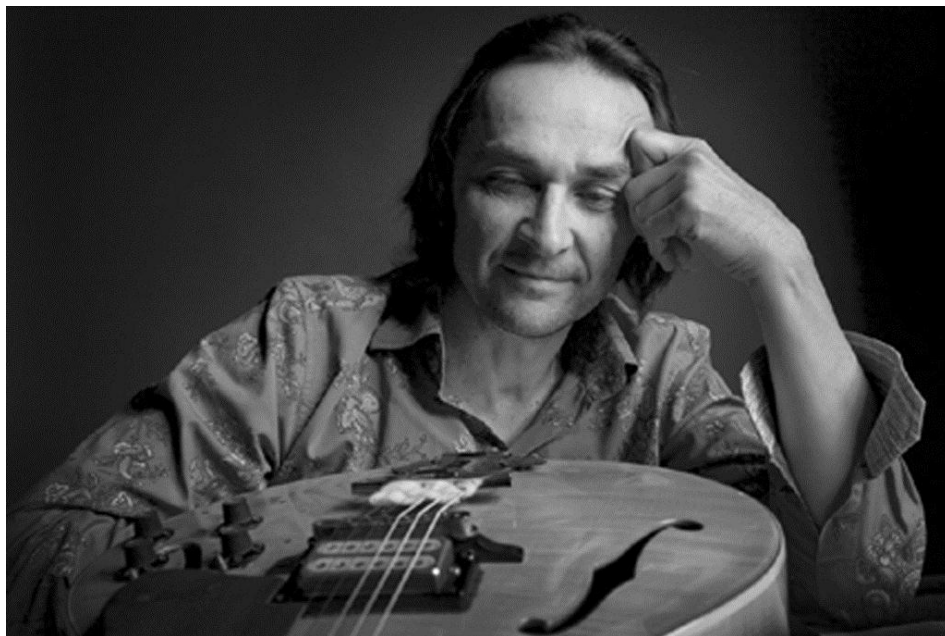
RB:– W roku 1985 zawiesił działalność, reaktywacja w 1991.

JYI:— Tak. Kiedy wznowili działalność i usłyszałem płytę „Róża”, zwróciłem uwagę na Marka Jackowskiego, a kiedy Kora pokazała mi teledysk z utworem „Po prostu bądź”, to odpadłem. Czułem, jaka tam jest melodyjność, jaki to wartościowy utwór. Wiedziałem, że Marek cały czas gra w tym zespole, że pisze muzykę, że jest liderem, ale jakoś zawsze był w cieniu, stał na drugim planie. Poza tym, że miał świetną powierzchowność, był pięknym człowiekiem i osobą, która świeci, której nie sposób nie zauważyć. I później, jak oglądałem dawne występy z Markiem Grechutą, to stwierdziłem, że Jackowski, to jest ten sam facet, który grał w Anawa. Potem spotykaliśmy się jeszcze po drodze na różnych koncertach, a później w Zakopanem, gdy już tam mieszkał. Kiedyś odwiedziłem go w jego galerii i długo rozmawialiśmy. I nagle okazało się, że to jest niesamowicie ciekawy człowiek, że ma dobrą aurę i że jest mi bardzo bliski. Kiedy współpracowałem z radiem częstochowskim, a wiedziałem już, że Marek ma kręgosłup chrześcijański, że jest postawiony duchowo, przeprowadziłem z nim wywiad. Ten materiał chyba nie przetrwał. Jeśli tylko przyjeżdżałem do Zakopanego, to zawsze go odwiedzałem. Był bardzo interesującym człowiekiem. Ścieżka między nami robiła się coraz krótsza. Nadal grałem jazz, ale zacząłem znowu śpiewać piosenki. Postanowiłem też grać nieco ostrzej, bardziej rockowo. Wtedy zadzwonił Marek, to było pod koniec lata 2003. Powiedział, że chciałby mnie zaprosić do Maanamu na gitarę prowadzącą. Mówię: Marku – ja się nie nadaję do tego zespołu, no proszę cię, ja jestem człowiekiem jazzowym, improwizującym, nie gram dwa razy tych samych fraz. Wtedy już piosenki Maanamu dobrze znałem, bo w moim domu cały czas grała radiowa Trójka, więc one siłą rzeczy docierały do mnie. A po duecie z Soyką, kiedy wróciłem do nieco innej twórczości, zwracałem szczególną uwagę na teksty i melodie. W przypadku Maanamu zagrywki i riffy gitarowe unosiły te piosenki. Marek jednak nadal mnie nakłaniał i pewnego dnia przyjechał do mnie, do Częstochowy. Wiedziałem, że Maanam oprócz Kory i Marka to Rysiek Olesiński, Bodek Kowalewski i Paweł

Markowski, mimo różnych składów, jakie przewaliły się przez ten band, a po wypadku Bodka grał Krzysiek. Mówię do Marka: Maanam to jest legenda, to jest świetny zespół, ja nie bardzo pasuję. Gdy o tej odmowie opowiadałem kolegom, to stukali się w czoło: Co ty Yanina, odmawiasz udziału w takim zespole? A dla mnie to nie była kwestia odmowy, lecz uczciwości, nie mogę w Maanamie grać tylko dlatego, że znosi „złote jaja”. Umówiliśmy się jednak, że za tydzień ponownie się spotkamy. Zastanawiałem się, co takiego musiało się stać, a bywa, że są to bolesne historie, bo nie przypuszczam, aby Rysiek, Krzysiek i Paweł sami odeszli. Potem Marek był u mnie jeszcze drugi raz i przy trzeciej wizycie powiedział mi, że Kora nie chciała grać z Krzyśkiem i Pawłem, że właściwie zamierzał zawiesić Maanam, ale są już napisane nowe utwory, więc postanowili zespół odrestaurować. Wtedy jeszcze przewidywali, że Rysiek będzie grał w nowym składzie, ale on odmówił, zrezygnował z dalszej współpracy. Ta opowieść Marka spowodowała, że powoli zacząłem zastanawiać się nad dołączeniem do Maanamu, bo jeśli Rysiek sam zrezygnował, to jest to dla mnie czysta sytuacja i mogę rozważyć swoją decyzję. Marek po jakimś czasie opowiedział mi, że robili castingi. Nie dziwię się, przecież w Polsce jest dużo świetnych rock&rollowych gitarzystów. W nowej sekcji miał już Bogdana Wawrzynowicza, Jose Manuela i Czarka Kaźmierczaka, brakowało mu tylko gitarzysty. I za każdym razem, na tym castingu, coś Markowi u tych gitarzystów nie pasowało. W końcu Kora mówi: Marek zdecyduj się, bo żaden ci nie pasuje, zaproponuj kogoś. I on wtedy powiedział: Yanina, a Kora na to: Nawet do niego nie dzwoń, bo ci odmówi. I wtedy, gdy ten pierwszy raz do mnie zadzwonił i mu odmówiłem, to Kora dorzuciła: A mówiłam ci? Niemniej jednak przy trzeciej wizycie Marka zadałem mu pytanie: Powiedz, dlaczego ja? A on na to: Jest mnóstwo świetnych gitarzystów w kraju, ale ciebie znam jako jedyne gitarzystę big-bitowego. Jesteś muzykiem kolorowym i dlatego z tobą chcę grać. Bardzo mnie ujął tym zdaniem, ponieważ niewielu ludzi zna moją przeszłość big-bitową. Trafił mnie

prosto w serce, gdyż w środowisku jestem postrzegany jako gitarzysta jazzowy lub rockowy. Rockowcy mówią, że jestem gitarzystą jazzowym, zaś jazzmani, że rockowym (śmiech). Moja córka, która usłyszała słowa Marka powiedziała: Tato, przecież mówiłeś, że chcesz zespół rock&rollowy założyć! I wówczas się zdecydowałem: Okay, możemy spróbować.

Janusz „Yanina” Iwański.



Marek zostawił mi utwory, przesłuchałem je i potem pojechałem na pierwszą próbę. Okazało się, że jest bardzo przyjemnie, jest też akceptacja Kory i pozostałych muzyków. Cieszyłem się, że Marek tak drażył i namówił mnie, ponieważ spełnił moje marzenie z lat 70. Wtedy pragnąłem grać w rock&rollowym zespole, gdzie jest wielka scena, wspaniałe światła, a na koncerty przychodzą tysiące ludzi. Poza tym Marek zafundował mi piękny czas i swoją osobę. Całymi nocami w hotelach rozmawialiśmy o filozofii, Panu Bogu i muzyce. Okazywało się, że dużo nas łączyło również w sensie postrzegania muzyki świata. Był osobą, która dzieląc się sobą, potrafiła drugiego

człowieka zainspirować. Kiedy pojawiła się płyta „Znaki szczególne”, wyjątkowy album, to ludzie mówili mi: Yanina, jaka nobilitacja, grasz w Maanam. Ja jednak wiedziałem, że jest to nobilitacja przede wszystkim dlatego, że spotkałem wspaniałego człowieka, poza tym oczywiście, że estrada też ma swój haj. A zderzenie się z Korą na scenie, było jak zderzenie z pędzącą lokomotywą. Cieszyłem się na te estradowe spotkania, ponieważ Marek był statyczny, stał za mną, był ostoją, a ja mogłem wtedy wejść w interakcję z Korą. Zespół zaczął powoli rozwijać się i zbierać szlachetne szlify. Album „Znaki szczególne” przeszedł jednak bez echa nie tylko wśród odbiorców muzyki. Wciąż powtarzano, że Maanam się skończył. Ja jednak za każdym razem mówiłem: Jeśli chcecie dowiedzieć się, czym był nowy skład, musicie jeszcze kupić ostatnią płytę. Pewnego dnia Marek powiedział mi: Yanina, pisz piosenki. I kiedy posyłałem mu swoje utwory, zrodził się pomysł, żeby stworzyć grupę, która je wykona. Jeszcze wtedy nie było nazwy The Goodboys, a jako Maanam graliśmy coraz lepsze koncerty. Słyszałem wcześniej z opowieści, że z Korą bywa ciężko, ale podczas kiedy ja grałem, nie było tego ciśnienia. Owszem, zdarzały się nerwowe sytuacje, muzycy to przecież ludzie. Zanim zacząłem grać w Maanam, miałem setki innych koncertów i wiedziałem, że dyskusje czy pretensje po występie, to zabójstwo dla zespołów.

RB:— Czasu już nie cofnie się.

JYI:— Dużo wcześniej miałem świadomość, że nie ma większego bata, niż wyrzucanie sobie, że zrobiło się coś nie tak, że gdzieś popełniłem błąd. Nikt mnie nie musi krytykować za to. Wystarczy, że ten ból już sam z siebie jest i trzeba go dźwigać. Ale to chyba dotyczy tylko muzyków dojrzałych. Zawsze podziwiałem Marka, że miał taki wewnętrzny spokój, że potrafił znieść wszystkie pretensje, jakie na niego spadały, choć na pewno cierpiał z tego powodu. I tak oto dochodzimy do momentu, gdy zespół zaczyna grać bardzo dobre koncerty. I wtedy, jesienią 2007, Marek uległ wypadkowi.

RB:— Opowiedz mi o tym zdarzeniu.

JYI:— Graliśmy wtedy w krakowskim studiu telewizyjnym, w Łęgu. Wcześniej mieliśmy tam próbę i na scenę wchodziliśmy z pewnego miejsca. Gdy nadszedł czas koncertu, okazało się, że mamy wejść innym podestem, którego nam wcześniej nie pokazano. To był błąd organizacyjny, że nie znaliśmy tej drogi i nie wiedzieliśmy, że będziemy tamtędy wchodzić. To chyba było wejście dla baletu, ale na pewno nie dla nas. Organizator powinien zrobić zabezpieczenia albo nas uprzedzić, że w tej ciemności mamy iść na przykład dziesięć kroków prosto i potem skręcić w lewo. Jednak nikt nam tego nie powiedział i wchodziliśmy po omacku. Szliśmy z Markiem pierwszy, najpierw ja, a krok za mną on. Wchodzimy na tę platformę, wszędzie cholernie ciemno. W ostatniej chwili zauważyłem, że scena jest po lewej stronie więc skręciłem i w tym samym momencie usłyszałem spadającego Marka, który z przewieszonym telecasterem szedł krok za mną. Spadł z wysokiej prawie na dwa metry platformy. To wejście było w kształcie litery L i myślę, że on wcześniej zwrócił się w lewo i dlatego wpadł w tą czeluść. Usłyszałem jego jęk, zatrzymałem się, ale nic nie widziałem. Zeskoczyliśmy do niego z tej platformy, ktoś podał jakieś światło i widzimy, że nie jest z nim dobrze. Szybko zadzwoniliśmy po pogotowie, przyjechało zaraz. Po jakimś czasie skandowania publiczności, wiedząc, że Marek jest otoczony opieką, że czuwa przy nim lekarz i w tym momencie nic więcej nie możemy mu pomóc, wyszliśmy na scenę i zagraliśmy ten koncert. Mogę powiedzieć, że nic z niego nie pamiętam. Potem dowiedzieliśmy się, że zawiozła go karetka do szpitala w Nowej Hucie, miał popękane żebra i złamane śródstopie. Manager zapewnił nas, że jest pod dobrą, medyczną opieką. Zgodnie z kontraktem, mieliśmy jeszcze koncerty przez kilka dni, między innymi w warszawskim klubie „Hard Rock Cafe”, gdzie Kora odpalała neonową gitarę stojąca przed klubem.

RB:— Masz dobrą pamięć. To było trzeciego dnia od wypadku Marka, wasz występ trwał 2,5 godziny i wieńczył trasę koncertową.

JYI: – Był rejestrowany, ale do dziś nie dostałem nagrania. To było dla nas duże ciśnienie, nie było z nami lidera, nie było jednej gitary. Ale uważam, że spokojnie daliśmy sobie radę, choć tak naprawdę powinniśmy nagrywanie tego koncertu odpuścić. To nie był tylko ten jeden występ bez Marka, graliśmy bez niego również w USA i Kanadzie, kiedy splot wydarzeń nie pozwolił mu dolecieć na te koncerty. Wiadomo, to nie jest to samo, gdy są dwie gitary, trudniej jest, gdy lider wspiera tylko duchem.

RB: – Dla niego to też musiała być dyskomfortowa sytuacja.

JYI: – Trzeciego dnia zadzwonił do mnie i mówi: Yanina, proszę cię, zabierz mnie stąd, bo ja zwariuję w tym szpitalu. Zaproponowałem, aby przyjechał do mnie, z Krakowa do Częstochowy jest tylko 120 km. Do Neapolu miał bilet na samolot dopiero za kilka tygodni. Uzgodniliśmy z lekarzem, że Marek będzie miał możliwość brania u mnie zastrzyków, moja sąsiadka jest pielęgniarką. Lekarz zgodził się i Marek został przetransportowany na noszach do specjalnej karetki, która przywiozła go do mojego domu. Miał u mnie swój pokój, opiekę i co ważne kontakt przez skype z rodziną. Dużo wtedy rozmawialiśmy, mieliśmy czas na przemyślenia. Zastanawialiśmy się również co dalej, ale Marek powiedział, że skoro teraz daliśmy radę, to na następnych koncertach też możemy grać jako kwintet, dopóki on nie wróci do zdrowia. W dniu wylotu do Włoch, zawieźli go na Balice nasi wspólni znajomi. Około trzy miesiące trwała jego rekonwalescencja. W międzyczasie pracowaliśmy nad płytą Goodboysów, na skype wszystko konsultowaliśmy i przesyłaliśmy sobie pliki.

RB: – Jak sobie zespół radził, kiedy Marek wracał do zdrowia?

JYI: – Maanam cały czas grał koncerty i realizował kontrakty. Ja mieszkałem w Częstochowie, a cała reszta w Warszawie. Pewnego dnia dowiaduję się od menago, że na okres, kiedy Marka nie będzie, zastąpi go młody gitarzysta. Zadzwoniłem do Marka, bo prawie

codziennie rozmawialiśmy i on zaakceptował tę sytuację: Jeśli Korze brakuje tej jednej gitary, to niech zastępca gra, póki nie wrócę. Uważałem, że brakowało tylko Marka i nic poza tym. Kiedy przyjechałem do stolicy, nowy gitarzysta był już po próbach i okazał się bardzo sprawny. Było jednak wiadomo, że jest z nami tylko na kilkanaście występów. Kiedy Marek pytał mnie, jak nam wychodzą koncerty, mówiłem: Ok, to jest dobry gitarzysta, ale ciebie brakuje. I wiesz, w zespole nie ma teraz lidera. Musisz kurować się i wracać na estradę”.

Marek Jackowski i Janusz „Yanina” Iwański.



Marek, to była taka postać, że on już nie musiał grać, wystarczyło, że jest na scenie. On po prostu świecił. Miał takie wewnętrzne światło, jak na przykład Marek Grechuta czy Czesław Niemen. To są wybitne osobowości.

RB:– Wraca po trzech miesiącach i jest już zdrowy.

JYI:– Tak. Pewnego dnia przyleciał do Polski. Jest gotów, zaczyna się trasa. Wiemy, że znowu będzie z nami. Zjawił się u mnie kilka dni wcześniej, bo cały czas pracowaliśmy nad piosenkami dla Goodboys. W pewnym momencie dzwoni Marek telefon. Odbiera i z sekundy na sekundę widzę, jak jego twarz zmienia się i blednie. Rozmawiał chyba z managerem, tego nie wiem, słyszałem tylko głos Marka, bardzo zaniepokojony. Rozmowa kończy się i Marek mówi: Yanina, właśnie zostałem wyrzucony z Maanamu. Przyjechał do Polski, żeby grać koncerty, a dowiaduje się, że jest w swoim zespole niepotrzebny.



Mówię: Marek, co ty mówisz, przecież Maanam to jesteś ty i Kora, w tej kolejności. Tyłu muzyków się zmieniało, Maanam to jest twój zespół. I w tym momencie Marek wybiera z telefonu jakiś numer, włącza komórkę na głośny odsłuch i słyszę:

- Cześć Milo!
- Cześć Marek, co słysząc?!
- Milo, zespół Maanam to czyj jest?

– Jak to czyj, no twój i mój – odpowiada Milo.

Myszę, że potrzebne mu było takie błyskawiczne wsparcie, bo był to dla niego potężny cios. W chwilę później nasunęła mi się refleksja: Marek, to co ja mam teraz zrobić? Do Maanam zostałem zaproszony przez Ciebie, są zakontraktowane koncerty, ale ciebie na nich nie ma?! A on: Yanina, ty graj. To się może jakoś wyjaśni, ty graj te koncerty. Ale jak ja mam grać, skoro został usunięty właściciel zespołu? Marek mówi: Yanina, jak ty nie będziesz tam grał, to co to będzie za zespół? Przez długą jeszcze chwilę siedzieliśmy i nie dowierzaliśmy. Na drugi dzień był tylko jeden koncert. Marek został u mnie i gdy wróciłem do domu, dalej pracowaliśmy nad płytą. Do końca nie mogłem uwierzyć w to, co się stało.

RB: – W takim momencie niejedyn człowiek dla odreagowania wypija z przyjacielem butelkę alkoholu.

JYI: – My z Markiem byliśmy duchowymi braćmi wyrwanymi z paszczy lwa. Ja już 28 lat nie piję alkoholu, Marek 4 lata później też „wyczepił”. Mówi o tym w jakimś wywiadzie.

RB: – Tak, udzielił go zakonnikowi Andrzejowi Bujnowskiemu.

JYI: – Obaj jesteśmy wyzwoleni. Od wielu lat nie stosujemy żadnych używek. To nas mocno do siebie zbliżyło. Nie mógł się ugiąć. Poza tym wiedział, że ma rodzinę i że budujemy razem nowy zespół. Ale fakt, przyleciał z Włoch na koncert, a słyszy taką wiadomość. To jakby przyszedł do własnego domu i dowiedział się, że już w nim nie mieszka.

RB: – Czy Marek zawsze był taki opanowany i zrównoważony?

JYI: – Jeśli chodzi o moje przebywanie w jego towarzystwie, to mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że zawsze. Ja z nim nie miałem ani jednej utarczki, ani jednej krzywej rozmowy. Jeśli mieliśmy różne

zdania, to jeden drugiego próbował przekonać. Nigdy nie było tak, jak on chciał, ani tak, jak ja chciałem. Dogadywaliśmy się, ponieważ trzeba było wybrać dobro, a nie rację.

RB: – Z pozostałymi muzykami też tak było, opowiadali mi.

JYI: – Ale powiem ci rzecz ciekawą... Maanam był rozpoznawalny przez riffy, przez charakterystyczne dźwięki, które pojawiały się w nagraniach. One zawsze mnie kręciły i zwracały moją uwagę. Byłem święcie przekonany, że to Rysiek je gra. I kiedy się zaprzyjaźniłem z Markiem, to powiedział mi, że to są jego maleńkie momenty gitarowe. Nie żebym umniejszał Ryśkowi, ale to co porusza moją wrażliwość, co drga w moim sercu, to były te złote dźwięki, które Marek grał. Oni się z Ryśkiem świetnie uzupełniali. Kiedyś Marek poprosił mnie, żebym nauczył się jednej solówki. Powiedziałem mu, że nie powtarzam solówek. Mówię: Jesteś pewny? Bo ja jestem nieobliczalny. A on: Wiem, że jesteś nieobliczalny.

RB: – Do którego utworu była ta solówka?

JYI: – „Do kogo biegłam”, piękna piosenka. Nauczyłem się tej solówki i potrafię ją zagrać do dzisiaj. Ona jest prosta, ale trudna do zagrania dla mnie (śmiech). Pierwszy skład otwiera Maanam, ja tę historię zamykam. I powiem, że jestem Markowi bardzo wdzięczny za tych prawie sześć lat. Zafundował mi piękną podróż i przygodę na wielkiej estradzie i prywatny czas ze sobą. Jest kilka takich osób, to był też Niemen, Sojka czy Tomek Stańko – ludzie, którzy ładowali moje baterie. Marek należał do rzadkich osobowości. Kiedy grałem w Maanamie, różni gitarzyści mówili mi: Yanina, co ty robisz w tym zespole, przecież ten Jackowski nie umie grać. A ja odpowiadałem: Jeżeli zagrasz chociaż jeden taki dźwięk, który Marek potrafi, to będziesz wielkim gitarzystą. Wystarczyło, że uderzył dwa akordy i już zapalało się ognisko. Potrzebny był człowiek, aby to ognisko zapalić. I on nim był, on miał ten dar. Bo nie o to chodzi, żeby wymiatać na gitarze, lecz aby generować z siebie muzykę. Jeśli się

jest wielkim artystą, takim jak Marek, to wystarczyło tylko zagrać w sposób nieprawdopodobny te dwa dźwięki. I rzecz, która mnie fascynowała zawsze na koncertach... To może być taka anegdota o Marku. Graliśmy bardzo mocno odkręceni na wzmacniaczach, Marek miał mesa boogie, ja riverę, a jakby nie było, Marek miał już swoje lata, w wielu przypadkach to już są emeryci. A on wychodził na scenę i widząc, jaki wśród publiczności jest szal rock&rollowy, podkręcał gałkę swego wzmacniacza na max i mówił: Yanina, teraz włącz turbo! Długo szukałem dobrego wzmacniacza, aby być jego „piecykowym” partnerem na scenie. Kora, kiedy wchodziła w światło naszych wzmacniaczy i jak szybko wchodziła, tak szybko oddalała się, bo taki był łomot. Coś, o czym wielu gitarzystów marzy. Marek cały czas był animatorem muzycznej sytuacji na estradzie.

RB: – Frontmenka też zapewne podkręcała koncert.

JYI: – Kora przed każdym występem miała cholerną tremę. Siedziała w swej garderobie i „umierała”. Marek często mówił: Yanina, chodź, pójdziemy do Kory, trzeba ją wesprzeć. Często siedziała blada, właściwie przed wszystkimi koncertami tak było. Siadaliśmy wtedy z nią, piliśmy zieloną herbatę, rozmawialiśmy, Marek mówił: Kora, zagramy jak zwykle. Czułem, że potrzebowała naszego wsparcia. Po czym wychodziła na estradę i zamieniała się w gwiazdę pędzącą z prędkością światła. To pokazuje, jaką Marek był osobą. Wiele też razy składałem z nim krótką modlitwę za dobry występ, żeby ludzie wynieśli z tego koncertu jak najwięcej dobra. Bo choć graliśmy ostrą muzykę, to intencją Marka i moją było, żeby ten występ nikomu zła nie przyniósł, a ludzie wyszli z niego napełnieni dobrem.

Marek Jackowski i Janusz „Yanina” Iwański.



Czasem też, gdy była nerwowa atmosfera, Marek mówił: Chodź Yanina, skupimy się na chwilę. I stawaliśmy naprzeciwko siebie, aby trochę pomilczeć. A potem wychodziliśmy na scenę i zapalało się ognisko. Kiedy dostałem telefon, że Marek nie żyje, w ciągu kilkunastu pierwszych sekund pożegnałem go w sercu modlitwą z wielkim pokojem ducha. I wiedziałem, że jest w najlepszym z możliwych miejsc. Znałem go, on był przygotowany. Śmierć zawsze nas zaskakuje, ale on w głębi duszy, choć cały czas twórczo pracował, był pogodzony i gotowy. To mi się rzadko zdarza, bym w przypadku śmierci tak bliskich mi osób, z takim wewnętrznym spokojem zareagował. A dopiero potem przyszła refleksja, że już do mnie nie zadzwoni, że już z nim nie porozmawiam i że nie odpalimy wzmacniaczy, zapalając ognisko na scenie. Wiadomo też było, że los The Goodboys jest przesądzony, że show biznes z jakichś względów nas nie wpuścił na rynek. Uważam, że piosenki polskie są wspaniałe, nagraliśmy dziesięć pięknych utworów, które mam nadzieję, jeszcze kiedyś wypłyną. W każdym razie po odsunięciu Marka z zespołu, Maanam zamknął swój rozdział w historii. Marek zastrzegł sobie prawo do tej nazwy, a Kora miała występować jako Kora i Zespół. Były takie sytuacje, że zapowiadała na estradzie: Kora i Zespół, a ludzie skandowali: Maanam! Mieli do tego prawo, bo to były kontrakty na Maanam. Keith Richards powiedział kiedyś, że Mick Jagger to nie są Rolling Stonesi. Kora to nie jest Maanam. Nie ma Maanamu bez Kory, ale Kora to nie jest Maanam. Marek Jackowski natomiast, to z pewnością jest polski Keith Richards. Martwił się, pytał mnie jak przebiegają koncerty, mówiłem mu: Marek, dobrze, ale to już nie jest Maanam, to jest coverband, to są tylko piosenki i frontmenka z Maanamu.

RB:— Czy to wtedy w 2007 roku, gdy został odsunięty od zespołu, zdecydował się zawiesić Maanam?

JYI:— Nie, to był dopiero początek, to był prolog. W 2007 pozwolił Korze występować jako Maanam, ale zespół nie mógł już nagrywać

płyty z tą nazwą. Jesienią 2008 pojawia się album „Metamorfozy”, który Kora nagrała z grupą 5th Element. Znalazły się na niej hity Maanamu. Kora mi tę płytę podarowała. Przyjeżdżam do domu, otwieram okładkę i czytam: „Lipstick On The Glass” – słowa Kora Jackowska, muzyka 5th Element i Marek Jackowski; „Lucciola” – słowa Kora Jackowska, muzyka 5th Element i Marek Jackowski; „Szare Miraże”, „Kocham Cię Kochanie Moje”, „Cykady na Cykladach” – słowa Kora Jackowska, muzyka 5th Element i Marek Jackowski. Przecieram oczy ze zdumienia. Kto to wymyślił?! Przecież to są utwory skomponowane przez Marka. Od razu dzwonię do niego, do Włoch. I to nie jest ten aspekt, że donoszę. Chodzi o zasadę, o prawa autorskie. Mówię: Marek, oglądam właśnie okładkę płyty Kory.

On od razu powiedział:

– Yanina, już wiem. Dzwoniła do mnie pani z Universalu mówiąc: Panie Marku wychowałam się na muzyce Maanamu, utwór „Kocham cię kochanie moje” zawsze był Kory i Jackowskiego, tak samo „Szare Miraże” czy „Lucciola”. Mam teraz to złożyć do Zaiksu, a tu jest napisane, że 5th Element jest współkompozytorem. Co ja mam zrobić?. Odpowiedziałem jej, żeby się nie martwiła, bo te utwory są chronione prawem autorskim.

I właśnie wtedy Marek dopowiedział mi:

– Yanina, zwijam Maanam, zamykam działalność zespołu.

Wiem, że wiele spraw źle się układało, ale ta była dla niego przelaniem czary goryczy.

RB:– To działo się jeszcze przed podaniem oficjalnego komunikatu?

JYI:– Tak, Marek mi to powiedział jesienią 2008, a końcem grudnia liderzy ogłosili oficjalny komunikat.

RB:– Dziękuję ci Janusz za tak wiele wspomnień. Niektóre mają ciężki kaliber. Ale dla ciebie to jest wartością, że mieliście z Markiem tyle wspólnych i fantastycznych przeżyć.